Nr. 37 Rok 4 Kraków, dnia 12 września 1943 Cena 40 gr.

Ilust… …ny
…SKI



UCIESZNA HODOWLA

DO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

TYGODNIK WOJENNY





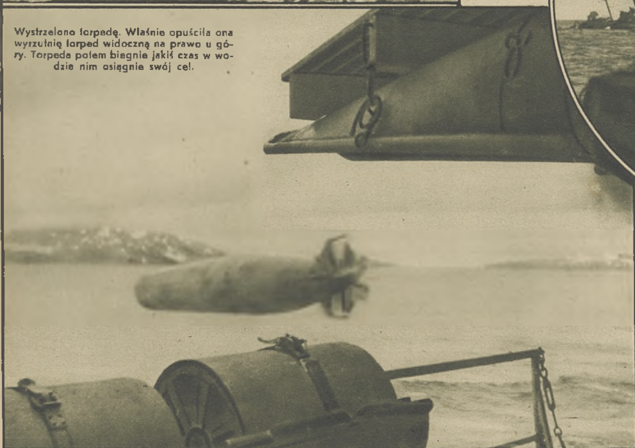
U góry: Niemieckie działo przeciwpancerne zniszczyło ciężki czołg sowiecki. Na prawo widzimy ów kolos w chwili eksplozji.

Na lewo: Niemiecki posterunek grenadierów na północnym odcinku Frontu Wschodniego.



Fot: PK. Sönnke, Schmidt, Böttger-Atl., Rumbucher-Sch., Prokop, Waske-TO

Okręt brytyjski ugodzony pociskami niemieckiej łodzi podwodnej. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy stracili alianci na skutek działalności jednostek floty morskiej i broni powietrznej mocarstw Paktu Trzech, 791 okrętów o łącznej pojemności 3,96 milionów BRT.



Wystrzelono torpedę. Właśnie opuściła ona wyrzutnię torped widoczną na prawo u góry. Torpeda potem biegnie jakiś czas w wodzie nim osiągnie swój cel.



Ochotnicy hiszpańscy walczący z bolszewikami na Froncie Wschodnim, udają się na posterunek, by zluzować kolegów.



Rumuńskie czołgi w drodze na front.

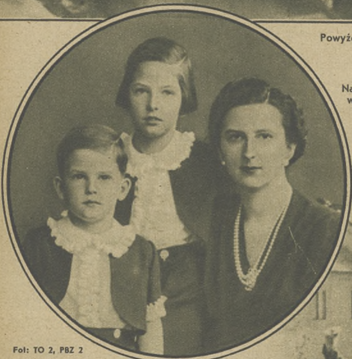
ZGON KRÓLA BORYSA



Powyżej: Zmarły król Borys III na łożu śmierci.



Na prawo: Klasztor Rila, największa świętość narodowa Bułgarii.



Fot: TO 2, PBZ 2

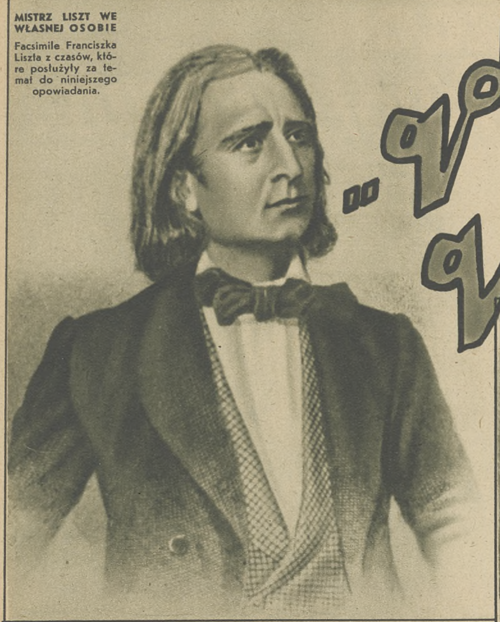
Powyżej: Królowa Bułgarii z dziećmi: księżniczką Marią Luizą i księciem Symeonem, następcą tronu.



Na prawo: Złożenie przysięgi wierności młodemu królowi Symeonowi II-mu, w szkole wojskowej w Sofii. Na zdjęciu po lewej stronie klęczy książę Cyryl, obok niego minister wojny generał-porucznik Michoff, za nimi w tyle generalicja.

W dniu 28 sierpnia br. po krótkiej, ciężkiej chorobie zmarł król Bułgarii Borys III-ci. W myśl życzenia wypowiedzianego przez króla, miejscem jego wiecznego spoczynku będzie klasztor Rila. Król Borys urodził się w roku 1894, a wstąpił na tron w roku 1918. Bułgaria zawdzięcza działalności króla swój wielki polityczny i gospodarczy rozwój. Następcą króla Borysa jest jego syn, książę Symeon, liczący obecnie pięć lat.

„Gdy grały dzwony w Zaltbommel”



MISTRZ LISZT WE WŁASNEJ OSOBIE
Facsimile Franciszka Liszta z czasów, które posłużyły za temat do niniejszego opowiadania.

Na prawo:
KU NIEBU PNIE SIĘ WYNIOSŁA WIEŻYCA...
Oto wieża szpitalnej świątyni w Zaltbommel, której dźwięk dzwonów wywarł tak wielkie wrażenie na Franciszku Liszcie.



Fot. Atlantic

AUTOPORTRET EDWARDA MANET
Własnoręcznie wykonana podobizna sławnego malarza E. Maneta „ucznia muzyki” i następnie małżonka Zuzanny Leenhoff.



Poniżej:
WŚRÓD WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI
„Ulica zakonnic” w Zaltbommel mieściła niegdyś pomiędzy dwoma uwidocznionymi na zdjęciu budynkami domek organisty i dzwonnika Leenhoffa.

W złocie słonecznych promieni, w upojnej woni kwietnych pól, niósł się w cudny letni dzień — kilkanaście dziesiątków lat temu — melodyjny głos dzwonów z małej wieży szpitalnej kaplicy w Zaltbommel. Wysoko pod sklepieniem dzwonnicy, sędziwy organista Leenhoff rozsiewał kryształowe dźwięki spiżowych serc — hen, ponad pola i niwy, cieśń ulic i gwar miejskiego życia, w roziskrzoną, w blaskach skąpaną dal... Hymn dzwonów brzmiał jak co dnia, jak zwykle, wzbijając się ku błękitowi nieba majestatyczną wibracją kołującego echa — i właściwie nie byłoby nic nadzwyczajnego zaszło, gdyby nie to — że właśnie niesiony wartkimi falami rzeki parowiec, mijał miasteczko. Miało to „zdarzenie” zaś niecodzienne i wprost bajkowe następstwa dla Zuzanny, córki miejskiego dzwonnika i organisty, wyżej wzmiankowanego, czcigodnego pana Leenhoffa. Bo oto na pokładzie statku siedział zatopiony w lekturze Shakespeare'a wysmukły, kościsty mężczyzna, zaczytany tak dalece, że zdawał się nawet najmniejszej uwagi nie zwracać na piękny, po obu brzegach ciągnący się, holenderski krajobraz. Nagle wzdrygnął się i jął nasłuchiwać ciekawie. Granie dzwonów potężniało, rosło, aż poniosło się upojną sonatą Mozarta, spływając w kaskadach dźwięków ku rzecznej toni z wysmukłej wieży kaplicy. Podróżny podniósł się z miejsca i wsparty o burtę cały zamienił się w słuch. Zdumiony do najwyższego stopnia i zaciekawiony koncertem dzwonów, powziął nieoczekiwane postanowienie przerwania na krótki czas swej podróży i zwiedzenia starej, cichej mieściny, tak bardzo go już teraz intrygującej. Jeszcze chwila — a parowiec przybił do brzegu, wysadzając na ląd podróżnego, który szybkim krokiem podążył ku „zaczarowanej wieży” koncertujących dzwonów. Znalazłszy się u celu. pchnął na pół otwarte drzwi i piąć się począł ku górze, łowiąc chciwie uchem milknące już i rozpraszające się dźwięki sonaty. Stary Leenhoff zabierał się właśnie do opuszczenia dzwonnicy i niemało został zdziwiony niespodziewanym widokiem obcego przybysza w wąskiej izdebce poddasza wieży. Intruz nie pozwolił mu jednakowoż na żadne pytanie co do celu swej wizyty — wyjaśniając z miejsca w niemczyźnie i francuszczyźnie powód swego wtargnięcia tutaj: chęć poznania mistrza, grającego na dzwonach. Leenhoff uśmiechnął się, pogłaskany mile pochlebstwem nieznajomego.

— Chodź pan do mnie, — szepnął, zamykając skrzypiące drzwi dzwonnicy — przy filiżance kawy pogawędzimy sobie o dzwonach i muzyce.

Postępując za swym przewodnikiem, zawitał podróżny wkrótce w progi domostwa Leenhoffa, rozsiadając się wygodnie przy stole. Zaledwie miał czas obcy gość rzucić okiem na wnętrze pokoju, do którego zawiódł go przypadek, gdy rozwarły się drzwi i w półmroku sieni zamajaczyła postać młodego dziewczęcia, zatrzymującego się z pomieszaniem w progu na widok nieznajomego. Tuląc do piersi naręcze kwiatów, obrzuciła dziewczyna nieśmiałym spojrzeniem siedzącego, który pozdrowiwszy ją grzecznie, prosił, by zechciała nie krępować się jego niezapowiedzianą obecnością. Gdy znikła już z filiżanek aromatyczna kawa, dał się nakłonić stary Leenhoff do odegrania paru utworów na cello, wywiązując się z zadania z prawdziwym artyzmem, zjednującym mu gorące pochwały i niekłamany zachwyt gościa. Zuzanna akompaniowała ojcu na fortepianie, a na prośbę przybysza zaprodukowała jakiś utwór w wykonaniu solowym.

— Pani gra pięknie i czysto — oświadczył podróżny, gdy przebrzmiały ostatnie akordy, a paluszki dziewczęcia pieszczotliwie gładziły jeszcze klawisze. — Niech pani jeszcze coś zagra...

Ciszę pokoju napełniły dźwięki „Andante” Beethovena. W skupieniu chłonął gość Leenhoffa grę dziewczyny, a gdy skończyła, odezwał się, gratulując jej sukcesu, w te słowa:

— Ma pani nieprzeciętny talent, duże zdolności muzyczne i odczucie piękna. Gdyby mi wolno było dołożyć starań w kształceniu pani w Paryżu, postarałbym się, by posłyszano o pani.

Rumieniec radości zabarwił lica dziewczyny. Jej najskrytsze marzenia zdawały się przyoblekać realne kształty. Stary Leenhoff z niedowierzaniem podniósł oczy na mówiącego, ale ten już na inny temat przeskoczył.

— A może zechciałaby pani jeszcze spróbować Liszta? — nastawał.

— Liszta? zawahała się Zuzanna. — Ten jest bardzo trudny...

— Czyżby istotnie? — uśmiechnął się podróżny, siadając do fortepianu, — może pozwoli mi pani wobec tego spróbować szczęścia?...

Ręce jego biegały z rutyną mistrza po klawiszach, zamknięte oczy nie patrzyły w nuty. W zdumieniu spoglądał Leenhoff ze swą córką na grającego. Matka Zuzanny, zwabiona czarem muzyki, wślizgnęła się cicho do pokoju, zadając nagle z drżeniem w głosie dręczące wszystkich pytanie:

— Kim pan jest? Pańska gra...

— Ach, prawda... Darujcie państwo — zaśmiał się gość, zamykając fortepian. — Na śmierć zapomniałem przedstawić się... To nie do wybaczenia! Jestem Franciszek Liszt, darować proszę me roztargnienie...

Trzy pary rąk wyciągnęły się do mistrza, trzy okrzyki radości zabrzmiały w pokoju. Radość Leenhoffów nie miała granic. Po pewnym czasie, gdy Liszt dalej udał się w podróż, nadszedł list od niego, donoszący, że poczynił już w sprawie Zuzanny odpowiednie kroki w Paryżu i że protegowana jego może każdej chwili przybyć do stolicy Francji. Wraz z matką pojechała tedy Zuzanna do Paryża, pilnie uczęszczając do konserwatorium. Ale nie na tym skończyła się opieka Liszta nad córką Leenhoffa. Jako nauczycielka muzyki dostała się za jego poparciem do domu Manetów, ucząc tajemnic fortepianu dwóch młodzieńców, Gustawa i Eugeniusza. Pewnego pięknego dnia powrócił z Brazylii do Paryża trzeci syn państwa Manetów, Edward, który zobaczywszy Zuzannę, zapragnął również zostać jej uczniem... Jak to zwykle bywa, oboje młodzi przypadli sobie wkrótce bardzo wzajem do gustu, a pierwszy pocałunek związał ich serca na drogi życia. Na zło i dobro, na radość czy ból poszli razem — on, sławny później malarz, ona, holenderska jego małżonka, znana w szerokich kołach miłośników muzyki, do których zaliczał się też między innymi poeta Baudelaire.



Na prawo:
ZUZANNA MANET
Małżonka sławnego malarza z synem. Obraz pędzla Edwarda Maneta.



Poniżej w kole:
FRAGMENT MIASTECZKA ZALTBOMMEL
Znak doby współczesnej, zmotoryzowane wehikuły na jednej z ulic w Zaltbommel, na tylnym planie której zachowały się t. zw. „Wodne Wrota”, które przywiodły Liszta z przystani rzecznej w mury miasteczka.





PIĘKNY ZAKĄTEK MIASTECZKA ZALTBOMMEL
Wspaniała w swej oryginalnej strukturze architektonicznej wieża kościoła św. Marcina w Zaltbommel, przy którym Leenhoff pełnił obowiązek organisty.

Hodowla gąsienic jedwabnika rozszerza się coraz bardziej, gdyż jest stosunkowo łatwą w prowadzeniu, a zapotrzebowanie na jedwab stale wzrasta, co powoduje jej rozwój nawet w tych krajach, gdzie dotychczas była prawie nieznaną. Ojczyzną jedwabnika są Chiny, gdzie przez całe lat tysiące strzeżono pilnie tajemnicy fabrykacji jedwabiu. Około roku 200 przed Chr. powstały hodowle jedwabników w Japonii i na półwyspie Korea. W r. 552 po Chr., dwaj mnisi przenieśli do Bizancjum jaja jedwabników w wydrążonych kosturach wędrownych. Stąd już rozpowszechniła się szybko hodowla jedwabników po całej Europie. Jedwabnik jest niepozornym motylem barwy żółtawo-białej. Samiczka składa 200—400 jaj na liściach drzewa morwowego, które służą następnie za pożywienie dla gąsienic wylęgłych z tych jaj. Gąsienice po ośmiu tygodniach życia osnuwają się długą nicią, tworząc z niej oprzęd owalny t. zw. kokon, z którego powstaje motyl. Kokon składa się z nici dochodzącej długości 3000 metrów. Zdjęcie u góry: Zbieranie liści z drzewa morwowego, na pokarm dla gąsienic. U dołu: Dwie gąsienice jedwabnika.

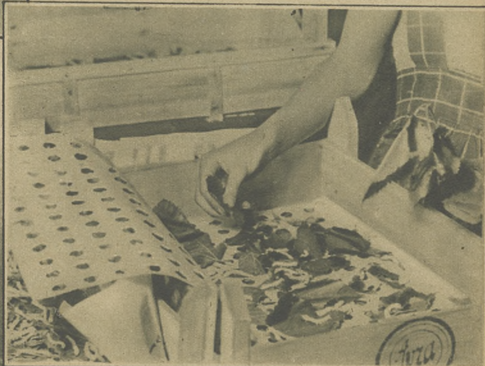




Fot: Eurofot



Kokon musi być twardy i nabrać barwy złoto-żółtej, by można z niego korzystać, jako z surowca jedwabiu. Hodowca cieszy się już myślą o dobrych „żniwach".



Aby pomieszczenie gąsienic utrzymać w czystości, musi się od czasu do czasu zmieniać dziurkowany karton, na którym układa się pożywienie.



Zbiór „dojrzałych" kokonów. Kosmatą ściankę kokonu zaraz się usuwa.



DZIEDZICTWO

TADEUSZ KOMOROWSKI

V

Minęło kilka tygodni. Sierpień ukazał swe zapłakane oblicze. Obmokłe wzgórza smętnymi rozlegały się głosami. Przemoknięte bydło ryczało żałośnie, wyrywając się do ciepłych obór. Siwe i chłodne mgły nieprzejrzystą płachtą zasłoniły góry; świat cały znikł w smętku i kurzawie deszczu. Była to niedziela. Ludzie, idący na sumę do kościoła, taplali się w błocie, które żółtymi i śliskimi pacynami przylepiało się do kierpcy i butów.

— Psia pogoda, psiachmać! — narzekała Mrowcowa, idąc pospołu z innymi kobietami.

— Wola boska! — odrzekła pokornie jedna z kobiet — nic inszego nie wymyślimy.

— Skaranie boskie, bo ludzie ino się kłócą, sknyrzą ła biednych, bitniki są i huncfoty — wtrąciła się żona „koślawego" Jaśka.

— Skrępirować nam przydzie, bo bida zaziero do chałupy i swymi złymi ślepiami wypatruje po kątach izby, coby kogo móc z chorością na wyrko prasnąć.

— A kielo razy za trzewia głodem ułapi . . .

— Abo wciśnie ci, człowieku, ciężar kłopotów co i uradzić nie uradzisz.

— Nie długo pomoże nam Wicek Łojas, bo za hańtelo casu bedzie gazdą na berdowym gazdostwie — hej! — dźgnęła szyderczo Mrowcowa. Lecz umilkła nagle, bo zobaczyła właśnie Wicka z Hanusią jak szli przed nimi do kościoła.

Wkrótce wchodziły w mrok świątyni. Podczas całej mszy złośliwe kumoszki zezowały w stronę młodych, którzy klęczeli tuż przy kratach ołtarza. Po skończonej mszy proboszcz wszedł na ambonę. W kościele zrobił się ruch: szurgot nogami, wycieranie nosów na zapas i kasłanie. Po chwili zupełnie się uciszyło.

Po odczytaniu ewangelii, którą wierni, „z uszanowaniem powstawszy", wysłuchali słów bożych. Nastąpiły zapowiedzi. Długo przewracał ksiądz kartki brulionu, aż wreszcie odchrząknął, potoczył oczami po kościele i zaczął czytać: „zabierają się do stanu małżeńskiego: Wincenty Łojas stanu wolnego z Anną Gulbas-Berdówną stanu wolnego. Oboje z Nowego Bystrego — zapowiedź pierwsza. Kto by wiedział o jakiejś przeszkodzie pomiędzy tymi osobami proszę mi donieść".

Wszystkie oczy zestrzeliły się na głowach tych dwojga ludzi. Hanka czuła jak łaziły po jej plecach czyjeś oczy i kąsały złymi żądłami zazdrości, jak rój rozdrażnionych mrówek. Obejrzała się na jedno mgnienie oka. Za nią stały pokolenia gazdów i baców ze swymi żonami, córkami i synami. Zdawało się jej, że we wszystkich oczach tych ludzi dostrzega złe i nieprzyjazne błyski. Rumieniec oblał jej twarz . . . czuła się, jak w ukrop wrzucona. Natomiast Wicek stał dumnie z zadartą głową i hardo po ludziach toczył oczami.

Po sumie wysypali się ludzie na cmentarz przedkościelny, lecz z powodu pluchy nie przystawali w gromadach. Każdy spieszył do chałupy, gdzie ciepły i przytulny znalazł kąt.

Po południu za to rajcowano o tych zapowiedziach, nicując przyszłą młodą parę na lewą stronę. Gęby nie zamykały się nikomu. Sąsiadki biegały do siebie niby z wrzecionami — byle tych dwoje ludzi zemleć na szary proch swymi kąśliwymi ozorami.

Niewyparzone zazdrosne usta rozczapierzonych starych kobiet chlustały na Hankę całe wiadra pomyj. Najpodlejszych insynuacyj, obrzucały błotem. Zielonooka zadrość czaiła się w sercach młodek, które też jazgotały obmierzłe kalumnie.

— Wsze gadałach, co Hanka do żeńby sie pali z tym huncfotem Wickiem, bedzie płakała na niego, bedzie . . .

— Namitręzył sie stary Berda, namitręzył, a ła kogo? . . .

— A teraski, kie Hance kazał sie wydać za gdowca zasobnego, to i słuchać nie chciała. Prasnęła drzwiami i uciekła na pole, kie głupia.

— Stary pono zapis podarł i padoł, co jí nic nie da . . . nawet tego błogosławieństwa.

— Nie bójcie sie, jakosi se poradzi Hanusia, bo twardo z ni śtuka i nie da sie haw bele komu za łeb wodzić . . . nie — wtrącił ktoś nieśmiało, trzymając słabo jej stronę.

Lecz zakrzyczeli go i znów rozpuściły się złe ozory. I tak rajcowali aż do późnej nocy, która, otulona w buro-granatowe chmurzyska, szła ku ludziom, by ich roznamiętnione niską zazdrością serca ukołysać w głębokim śnie.

•

Po trzeciej niedzieli wyszły zapowiedzi Wicka i Hanusi. Zaczęto się przygotowywać do wesela.

Wicek pojechał do miasta po zakupy. Hanka uwijała się po domu, przeganiając Tereskę od roboty do roboty. Krzyczała na Jędrka, że się gmerze, pomstowała na bydło, niecierpliwiła się na ptactwo, które piszcząc i piląjąc prosząco, wtoczyło się za nią do izby przez uchylone drzwi. Do starego zaglądała bardzo rzadko. Bała się jego oczu, które patrzyły na nią strasznie. Chory nie mógł już mówić, bo dostał niedawno paraliż na mowę. Leżał więc zupełnie bezsilny. Pozostał mu tylko ten dziwny ogień w oczach, którymi gonił Hankę

Któregoś dnia Hanka podeszła do łoża chorego gazdy i nachyliwszy się nad wychudłą, zżartą cierpieniem twarzą i, wytrzymując jego zły wzrok, rzekła: — Ociec! Śmierzc haw stoi i do grobu was prosi, a piniądze was dusą i na potępienie zaprowadzą, co hańtelo nam zawiścicie, jakobych wasa córka nie była . . . Patrzycie haw na mnie strasnie, bo pewnie myślicie, co miałabych sumienie całe gazdostwo w harendę puścić. Skroś cego nam zawiścisz? . . . skroś tego, co Wicka nie cierpisz, ociec? . . . Żal mi jest tak was napastować, bo chorość strasna was na wyrko prasnęła; gadam, wicie, pokornie . . . dajcie, ociec, te dutki i błogosławieństwo!

Przez cały czas, gdy mówiła, stary miał zamknięte oczy — zdawało się, że drzemie, bo nawet się nie ruszył, jakby nie żył. Hance zrobiło się przykro. Zaczęła cicho płakać, ocierając dłonią ciekące po policzkach łzy. Nie spostrzegła, że ojczym otworzył był oczy i patrzył na nią uważnie, lecz już jakoś nie strasznie. W jego oczach dostrzec było można, że tam w głębi duszy toczy się walka: chciwość z rozsądkiem i upór z przebaczeniem. Kroplisty pot oblał mu twarz, żyły zgrubiały, widne pod zżółkłą skórą, jak mokre postronki. Usta się lekko rozchyliły, w których błysnęły zdrowe jeszcze zęby. Widać było, że gryzł się w sobie, targał w więzach przesądu.

Hanka, widząc co się z ojczymem dzieje, usunęła się w głąb izby i oparłszy się o futrynę drzwi, stała długo, ciężko oddychając z wrażenia.

Po jakiejś chwili spostrzec było można, że walka przycicha: żyły się schowały, a pierś wolno się podnosiła w spokojnym oddechu. Otworzył oczy i potoczył nimi po izbie, szukając zapewne Hanki. Zobaczył ją w półcieniu, bo mrok był w izbie, gdyż niebo zaniosło się szarymi chmurami. Zrobił taki wysiłek, jakby się chciał podnieść. Podbiegła Hanka, podtrzymała mu głowę i prawie, że przyłożyła ucho do ust chorego, by chociaż cośkolwiek zrozumieć co szepce. Lecz z ust jego wypłynął niezrozumiały tylko bełkot jak zwykle to czynią głuchoniemi. Wstrząsnęła głową, że nic nie rozumie. Wtedy chory wolnym, ledwo zrozumiałym szeptem rzekł: — Ostaniesz haw . . . po . . . kiel Jantoś nie wróci, a gdy wróci pódzies do Wicka . . . i wezmies swoje sześć morgów. Zgarnowałech ła niego . . . niech ła niego bedzie. Wickowi . . . wara od gazdostwa . . . wara . . . zmarnuje, abo i gorzej . . . znam go . . .

Przyrzekam

Nie wiemy jeszcze jaką pójdziemy drogą
a droga bardzo daleka
może taką szarą w trudzie i udręce
ale będziemy się zawsze trzymali za ręce
i iść będziemy razem . . . przyrzekam

A może drogą stromą wśród burz i błyskawic
kiedy się serce niby stal hartować musi
i chociaż płacz gardło dusi
a serce wciąż krwawi
i choć ta droga tak trudna . . . daleka . . .
Ja pójdę z Tobą wszędzie . . .
Przyrzekam

A może? . . .
Ach Boże, a może pójdziemy drogą słoneczną
promieniami jasną
gdzie wszystkie troski bledną i rozpacze gasną
a może pójdziemy drogą mleczną? . . .
gdzie gwiazdy blaski sieją
gdzie kometa leci
gdzie się takie cudowne rzeczy dzieją . . . .
a w mroku będzie nasza miłość najcudowniej świecić

Ale gdziekolwiek nas powiedzie ta droga daleka
ja pójdę z Tobą wszędzie . . .
Przyrzekam!

Krystyna Wodnicka

Odpoczywał długo, łapiąc z trudem powietrze. Po pewnym czasie wyszeptał: — Pieniądze haw . . . lecz nie dokończył — z wielkiego wysiłku omdlał. Skoczyła Hanka po Tereskę, aby pilnowała, a sama pobiegła do Mrowcowej, która obok mieszkała, aby przyszła cucić starego swoimi lekami. Po pewnych zabiegach zdołała go docucić. Ale z tą przytomnością tłoczyły się do jego umysłu gorzkie, jak piołun myśli, jak zgraja złych rozszczekanych psów, złe przeczucia szarpały jego sercem, czyniąc ból, który przewyższał cierpienia fizyczne. Widział on bowiem swymi proroczymi jakoby oczami tragiczny koniec jego gazdostwa.

Następne dni leżał bez ruchu, obojętny na wszystko.

Śliczna pogoda zabłysła na nowo tęczowymi blaskami nad światem. Wynieśli więc Berdę w półkoszku na łąkę, aby przynajmniej stamtąd mógł patrzeć na swe kochane góry. Sami zaś uwijali się skrzętnie przy robocie, bo i czas ślubu się zbliżał. Jędrek biegał, jak oparzony: to po farby jakieś na strych, gdzie je od świąt przechowywano, to wodę nosił do szorowania izby. Krowy pozostały pod opieką małego chłopaka, którego na ten przedweselny czas napytała Hanusia. Tereska chodziła, jak nakręcona, bo strasznie robotna i sprytna była dziewczyna. Przyśpiewywała sobie też przy robocie, aby umilić ten czas:

„Śpiwom ci, ja śpiwom,
chociaj ja nic ni mom . . .
ptaskowie śpiwajom,
chociaj nic nie majom . . ."

Posłyszał to Jędrek, który drwa do izby przyniósł, więc zaśpiewał:

„Teresko, Teresko, moje sto tysięcy,
kieby mi cie dali, nie chciał bych nic więcy."

— A pódzieś, ty niemrawo, hań do roboty! Widzis go, bedzie jus o dziewcynie przemyśliwał — zawołała Hanka i chwyciwszy pierwsze z brzegu polano drzewa, rzuciła nim w Jędrka.

Zasłonił się od ciosu, a potem hardo krzyknął: — Cy to jest grzych śpas robić z dziewcyną — hę?! — Zapaliła się Hanusia, bo prędkiej złości była. Doskoczyła do Jędrka, chwyciła za kołnierz i prasnęła na pole, jak workiem, aż się pokulał po miękkiej trawie.

Porwał się ze ziemi i podbiegłszy pod okna, zaśpiewał przekornie na całe gardło:

„Chłopiec ci ja, chłopiec, ojcowskiej natury,
gwiznem na paluszku, podskoczem do góry!"

— Widzis go, widzisz, płony jesce, a jus se telo, wicie, pśkuje! — pogroziła Hanka, ale i śmiać jej się chciało, bo Jędrek ucieszny bywał.

— E, dyć młody, to se uzywa — rzekła Mrowcowa pojednawczo, wchodząc właśnie do izby. Przyszła ona dla zwyczaju, aby się zapytać o zdrowie gazdy, a przy tej sposobności obmacywała twarz Hanki swymi kąśliwymi oczami, ważąc w swej głowie jakieby nowe umyślić plotki i rozsiać je po wsi, jak zły kąkol.

Wiedziała Hanka o jej niewyparzonej gębie, więc, aby się jej pozbyć, zagadała: — Idźcie, Mrowcowa, hań do tego małego juhasa, co go haw napytałach i zanieście obiad, bo połednie, sygnaturka na kościele zbyrcy.

Przygotowała szybko jedzenie w dwojaczkach, aby czym prędzej odeszła natrętna chałupnica.

Popędzała dalej służbę, sama doglądając wszystkiego. Po południu pobiegła nawet na tracz, by zobaczyć co się tam dzieje. Skrzyczała młynarczyka, zagrany w karty nie zważał na młyn. Stamtąd pobiegła na pola, gdzie bujne falowały owsiane i żytnie łany. Zobaczyła, że niedługo z kłosów brzemiennych zacznie się sypać złote ziarno. Postanowiła więc zaraz po weselu żniwować.

I tak idąc poprzez pola, wodziła rozmiłowanym wzrokiem po tych górzystych dalekościach, które jak tajemnicza leżały księga, w której lemieszem praojców wypisane jakby były dzieje tej ziemi. Urodna jej postać, widna z daleka wśród łanów na wzgórzu, w powietrzu jasnym, spokojnym — czyniła wrażenie, że nagle z błękitów spłynęła boginka gór.

•

Wieczorem zebrały się chętne małorolne gaździnki wraz z chałupnicami, by pomódz Hanusi przy końcowych robotach przedweselnych.

Stara Bachledowa, przemyślna i dobra kobieta, ofiarowała swoje usługi, by poszyć jeszcze to, co brakowało do wyprawy. Pogadywały sobie poczciwie przy tej pracy, przekomarzając się czasem z Jędrkiem, który lubiał się im sprzeciwiać. Któraś ze starszych niewiast wyciągnęła gdzieś z zanadrza swej pamięci bajkę, którą zgromadzonym kobietom zaczęła opowiadać:

„Kie Pan Bóg zycie ozdawał ludziom i sytkiemu stworzeniu, to kciał świni dać najdługse zycie. Świnia przysła i dziękuje, co ona nie stoi o długie zycie, bo kce krótkie a dobre. Pan Bóg ji sie nie przeciwił, a wzion i dał to długie zycie człowiekowi. I człowiek do dziska to świnskie zycie dozywa, co go świnia nie kciała ino chockie na starość, kie robić nie moze a bida go bije, to tyj świni zawidzi, co krótse zycie ma, bo nie takie twarde jako jego"[1].

Powstał śmiech w izbie i każda na swój sposób „ozblerała" bajtkę.

Niektóre niewiasty przyszły, by pomóc przy wypiekaniu pieczywa. Mięsiły pracowicie ciasto w ogromnych dzieżach; tam znów piany jakieś biły i kremy smaczne przygotowywały. Na ławie zaś leżało sobie ciele i świnia, gotowe do ćwiartowania. Rano miał przyjść „Koślawiec", majster do wszystkiego, który z kieliszkiem i z diablem, jak mówili, przyjaźń zawarł dozgonną.

I tak szła praca raźno, umiejętnie, przetykana przepowiastkami i przyśpiewkami.

Jedna z kobiet, stara panna, zaśpiewała sobie żałośliwie:

„Młodość, moja, młodość,
Przysłaś mi na marność,
Radość moja ginie,
Jak liść na wierzbinie . . ."[2]

— Co tak żałośliwie spiwacie, Maryśko, cy wesele moje was nie ciesy? — zapytała Hanka.

Kobieta odpowiedziała jej śpiewem:

„Siostry moje, siostry, syckie sie wydały
Ino ja ostałam, co krowy pasałach"[3].

— Nie bójcie sie! Najdzie sie juhas zdrowy, kieby ten pstrąg w potoku i przyjdzie haw, by o wasą rącke pieknie poprosic — żartowała Hanka.

I gwarzyły sobie aż do północy. Niektóre niewiasty na bezsen mniej wytrzymałe, przysypnęły w kąciku na ławie, by chociaż z dwa pacierze przedrzemać; woziły też zaraz pocieszne żydy po ścianach, lub kiwały się, jak dorożkarze na swych wysokich „kozłach".

Dobrze po północy, gdy już świt ciemnym seledynem znaczył wschodnie niebo, rozeszły się kobiety do swych chałup rade, że wnet zachrapią pod własną pierzyną. Dziękowała im Hanka za dobre serce i wyprowadzała je kolejno na drogę.

Została sama ze swymi myślami. Tereska gdzieś na stryszku w sianie dziewczęce roiła sny, a stary Berda spał snem niezdrowym, jęcząc okropnie w uśpieniu, jakby goniony strasznymi furiami.

VI

Nadeszła upragniona niedziela — weselny dzień. Już od samego wczesnego ranka ruch w obejściu Berdy wzrósł do punktu kulminacyjnego. Jest na podwórzu Jędrek i Franek, który wczoraj niespodziewanie ze szpitala z naprawioną nogą wrócił. Jędrek na pieńku sobie siedział „kie dziedzic", a Tereska za niego drwa do izby znosić musiała. Przyszło kilka dziewcząt, by girlandy pleść oraz inne poczynić przysługi.

Cała zgraja chłopców uwiesiła się na płocie, pokrzykując wesoło, aż musiał ich Franek batem spędzać. Starego Berdę wynieśli do trzeciej izby, zwanej białą. Leżał sobie tam spo-

---

1) Z opowiadań Sabały.
2) Według Sabały.
3) Józef Kantor: „Pieśń ludowa Podhala".

kojnie, opuszczony przez wszystkich. Czasem tylko wpadała do niego Tereska i, spojrzawszy w twarz chorego, uciekała dalej, bo za drzwiami wołała Hanka: — Tereska! Tereska! Ka ty posłaś, he? robota haw jest, a ja wam dzisiok nic nie pomogę. Zniknęła potem w komorze, gdzie się z dwiema zamknęła kobietami, które ją do ślubu przystrajały.

W Wickowym obejściu nie mniejszy był ruch. Kręcili się druhowie i kapela schodzić się zaczęła, brzdąkając po kątach dla próby instrumentów. Po paru godzinach miał orszak wyruszyć. Wyszedł też Wicek; by powitać godnie całą kompanię życzliwych mu ludzi. Ubrany był pięknie: cyfrowane nowe portki z bielusieńkiego sukna, koszula, jak świeży śnieg, złotą broszką spięta; na spodniach aż do piersi sięgający szeroki opasek mienił się klamrą mosiężną i nabijanymi guzami; a na ramionach zarzuconą miał pięknie cyfrowaną cuchę, spiętą czerwoną kokardą.

Chodził Wicek od gościa do gościa z dużą flachą wódki i przepijał do każdego i z każdym

— Józek, pij haw moje zdrowie!

— Jasiek, abo ty gorsy? — dalej, na zdrowie!

I pili godnie nie łakomie, że to jeszcze przed ślubem było i, aby nie iść przez wieś do kościoła z kurzącymi się łbami. Gości było coraz więcej. Uznali więc, że czas najwyższy, by ruszyć do panny młodej. Wnet wyruszyli z kapelą, wesoło grającą na przedzie orszaku, ku gazdostwu Berdy.

Przyjęła ich serdecznie matka pana młodego, zastępując w tym wypadku rodziców panny młodej. Dzień był cudny. Jasne, ciche powietrze wisiało nad światem, mżąc tęczowymi pyłami. Uśmiechnięte krągłe słońce złociło swymi blaskami dalekie wirchy i kładło się po grapach i pochyłościach, niby ogromne plastry miodu, oddzielone tu i ówdzie liniami cieniów drzew. Ustawili się w szereg, a kapela na przedzie, czekając na młodą parę.

W izbie podeszli młodzi po błogosławieństwie wickowej matki do łoża chorego ojczyma, aby i on w tej najuroczystszej chwili obdarzył ich błogosławieństwem. Leżał stary obojętny jakiś czy słaby: spojrzał tylko na nich mdłym wzrokiem, po czym przymknął powieki, jakby spał.

Wyszli zmrożeni i nie pewni, widząc, że ze starym nie ma co gadać. Ledwo się ukazali na progu, zagrała wesoło kapela, zdmuchując niejako z ich serc resztki przykrego wrażenia, jakie przed chwilą wynieśli z dusznej ojczymowej izby. Huknęli piosneczkę wesołą, w której również melancholijny drgał smutek:

„Matusiu, matusiu, bedzies ty płakała,
Kiedy ja sie bedem z chłopem wybierała"[4]).

Hanusia, w inne dni i tak urodna, dziś płonęła barwami cudnej krasy: mirtowy wianeczek okalał jej główkę, piękna niebieska spodnica szeleściła jedwabnym chrzęstem, biała bluzka, haftowana w przepiękne wzory, a na niej błękitny gorset cudnej roboty tęczowymi mienił się blaskami; na szyi zaś kilkakrotne zwoje czerwonych, jak jej usta, korali.

Zgrabne nogi, obciągnięte w białe pończochy, obute w kerpce, z błyszczącej zrobione skóry, stąpały raźno i ochoczo. Sunął przy niej Wicek urodny i jak smrek wybujały, dumnymi po zebranych tocząc oczami. Ruszyli też zaraz w stronę kościoła z orszakiem strojnym i hucznym, z kapelą grającą siarczyście. A po polach leciały krzyki owe i śpiewy:

„Ej, sicka sie zyniom, a ja jeden ostał,
Proś Boga, Janielciu, cobych ci sie dostał"[5]).

Oczu nie można oderwać od tych barw: stroje odświętne, piękne: spodnice jaskrawe, wstęgi czerwone, gorsety o różnych barwach przeważają w kolorze błękitnym, jakby na swych kibiciach kawał nieba nosiły; korale, jak świeże usta dziewczęce się czerwienią i zgrabne opasują szyje. Wiatr unosi wstęgi od warkoczy dziewek, idących tanecznym krokiem. A przy nich suną chłopy rosłe i zgrabne, kieby te smreki w lesie. Na głowach kabłuki ogromne, okolone wieńcem muszelek, a za nimi zatknięte pióro jastrzębie, lub kogucie; hołośnie pięknie cyfrowane, a na nogach kerpce ze skóry błyszczącej. Każdy z nich prawie ma opasek szeroki na koszuli, błyszczący sprzączkami — rzekłbyś pancerze na piersi założyli. W koszule wpięte, błyszczą mosiężne spinki z wisiorkami. Dochodzili do kościoła. Kapela zmieniła takt i huknęła piosneczka, zgodnie z kapelą śpiewana:

„Przypatrz-ze sie, przypatrz, panie organisto,
Co ja we wianecku do kościoła przysła;
Bądź-ze na świadectwo, panie bakałarzu,
Co ja swej wianecek kładem na ołtarzu."[6])

Weszli w mrok kościelny. Lunęła ulewa organowej pieśni srebrzystymi tonami i rozpełzła się po kościółku, jak fale morskiego przypływu. Zakołysali się weselnicy i rymnęli na kolana przed Bogiem, w złocistym znajdującym się tabernakułum, a potem ustawili się przed ołtarzem w długi szereg.

Wyszedł ksiądz i dał ślub. Gdy obchodzili ołtarz zahuczała znów potoczysta muzyka organowa, przechodząc w skoczne takty, że aż podrygać zaczęli, a niektóry i huknąć chciał po kościele, tylko się w czas pomiarkował, że nie pora do tego. Przyśli do domu weselnego, na progu którego matka Wicka i sołtys jako chrzestny Hanusi przyjmowali nowożeńców chlebem i solą, życząc im wszystkiego dobrego. Rozgościli się wszyscy i ochota wstąpiła w serca biesiadników, którzy, przypijając do siebie gęsto, przyśpiewywali:

„Nie ozmyślaj, cieku, o jutrzejsym wieku,
bydź rad jeze zyjes, gozełecke pijes."[7])

Hanusia rozpromieniona i śliczna, usiadła przy długim stole ze swym małżonkiem na najgodniejszym miejscu.

Tereska i kilka innych dziewcząt wniosło po chwili w dużych wazach pachnący obiad. Na półmichach dymiły miłym zapachem pieczone kurczęta, kaczki, a nawet indor ogromny wystawiał wysoko nad stół swe potężne uda. W izbie słychać było tylko mlaskanie i pobrzękiwanie łyżkami o talerze, lub czasem ktoś przerzekł do sąsiada poprzez potężną porcję żutych smakołyków, bo i tak wkrótce zaczęła w gęstych kolejkach krążyć duża flacha z wódką. Rozwiązały się usta, zaświeciły się oczy pijanym blaskiem, zaczęli sobie przyjacielstwa świadczyć, całować się, ściskać, jak to zwykle bywa, gdy wódka we łbach osiądzie. Kapela, siedząca w drugiej izbie, zaczęła stroić instrumenty. Gwar rósł, potężniał tak, że nie było można rozeznać kto do kogo mówi.

Tereska odbiegała czasem od swej roboty do białej izby, w której osamotniony leżał gazda. Rozradowana, promieniejąca weselem, nachylała się nad starym i paplała szybko o wszystkim. Lecz stary patrzył obojętnymi oczyma w jakąś jemu tylko wiadomą oddal. A gdy mu jakieś przynosiła słodycze i do bezwładnych wkładała ust, memłał je obojętnie, a potem nagle wypluwał, gdyż miał już porażenie krtani. Uciekała wtedy Tereska do gości, którzy, zupełnie już rozochoceni, śpiewali piosneczki wesołe, lub przez stoły do siebie krzyczeli.

Wnet jednak ruszyli do stodoły, gdzie na boisku miały się odbyć tańce. Kapela usiadła wysoko na snopkach słomy, specjalnie do tego przygotowanych. Próbowali najprzód swych instrumentów, po czym przycichli nagle... ale wnet gruchnęła siarczysta muzyka i, niby halny od wirchów pędzący, porwała wszystkich w szalony swój wir.

4) Wincenty Hlouszek: „Muza pod Tatrami".
5) Tego samego.
6) XVIII w. Dr St. Radzikowski.
7) Houszek: Muza pod Tatrami.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

O dziewczynce, która szukała Prawdy

W nieznanym zakątku jednego kraju stała mała, zapomniana świątynia. Na witrażach okiennych łamały się blaski słoneczne. Zaczajone po kątach cienie całowały zastygłe twarze świętych z obrazów. Na wytartych kobiercach kurz się osadzał.

Pusto było i cicho.

Nikt tam nie zachodził i nikt nie składał datków do puszek ofiarnych.

W bocznej wnęce wisiał samotnie przybity do krzyża poczerniały Chrystus.

Postać ginęła w mrokach.

Jaśniała tylko ozdobiona cierniami skroń.

Powiadali starzy ludzie, że Chrystus otwierał czasami oczy, dla tych, którzy chcieli poznać Prawdę.

Nikt nie zachodził do świątyni.

Nikt nie wierzył w legendy.

Chrystus nie miał dla kogo otwierać swych oczu.

Postanowił oderwać się od krzyża i iść z nim w świat, aby przypomnieć ludziom swą Prawdę.

Boleśnie oswobodził jedno ramię z uwięzi i gwoździ.

Wtenczas odezwały się wszystkie dzwony w zapomnianej świątyńce i płakały tak długo, jak płaczą po zmarłych.

Dźwięki słychać było daleko.

Chrystus pozostał na krzyżu. Z opuszczoną dłonią czekał na tego, kto po wołaniu dzwonów przyjdzie do Niego po Prawdę.

Wielu ludzi słyszało dzwony.

Dziwili się ich nieznanym brzmieniem i zgadywali, coby one znaczyło.

Jedni wołali, że wybuchnie wielka wojna; inni, że nastąpi niedługo koniec świata, a jeszcze inni, że odtąd nastanie raj na ziemi.

W dalekiej i cichej wiosce żyła biedna, ale uczciwa dziewczyna. Słyszała także dźwięki, ale nie wierzyła ludzkim tłumaczeniom.

Koniecznie chciała poznać Prawdę.

Pytała o nią różnych ludzi, a oni różnie jej odpowiadali, że:

Prawdą jest pieniądz.

Prawdą jest siła.

Prawdy nie ma. Odeszła już z ziemi.

Dziewczyna nie wiedziała komu wierzyć.

Postanowiła iść po radę do Mądrego Starca.

Daleką była droga do niego.

Wiodła przez dzikie knieje. Nad przepaściami.

Na niej czatowali zbójcy i dzikie zwierzęta.

Ludzie odwiedzający Mądrego Starca szli tam gromadami i dobrze uzbrojeni.

Po powrocie sławili głośno jego wiedzę i rozum.

Dziewczyna poszła samotna i bezbronna. Ubogo odziana i bosa.

Niosła bochen chleba, kawałek sera i garnuszek na wodę.

Szła wolno i z trudem.

Wspinała się pod góry.

Zamykała oczy nad przepaściami.

W ciemnych kniejach leśnych żegnała się nabożnie.

Wędrowała przez trzy dni i dwie noce.

Jadła chleb z serem, czerpała wodę ze strumieni.

Jedną noc spędziła na konarach drzewa. Pod drzewem nocowały wilki.

Trzeciego dnia wieczorem stanęła przed chatą Mądrego Starca.

Mizerna to była budowla. Z poczerniałych drewien, o słomianym poszyciu.

Do rąk Starca tłoczyła się gromada leśnych zwierząt, którym on opatrywał rany.

Twarz miał jasną i łagodną. Zdobiły ją mądre oczy i biała broda.

Odzież nosił zniszczoną.

Dziewczyna powitała go nieśmiało.

Uśmiechnął się do niej i zaprosił do wnętrza chaty.

Grały w niej świerszcze i żywica siała wonie.

Starzec postawił przed nią dzban z miodem i chleb.

Prosił, by usiadła i jadła.

Sam spoczął naprzeciw. Wpatrywał się w jej pogodne czoło, czytając z niej myśli.

— Przyszłaś do mnie po Prawdę — rzekł po chwili. — Nie mogę ci jej pokazać. Ani podarować. Człowiek musi sam z trudem zdobywać swą Prawdę.

Dziewczyna zasmuciła się na te słowa.

— Na cóż zdał się mój trud i droga — myślała zniechęcona.

Mędrzec wyczytał te jej myśli i zaraz ją pocieszył.

— Nie żałuj trudu ani męki. One wiodą do poznania Prawdy. Słuchaj wołania prawdziwych dzwonów. Zawiodą cię na pewno.

Nazajutrz o świcie, posilona i wypoczęta, wracała do swej wioski.

Doba i następny dzień podróży upłynęły jej spokojnie.

Na drugą noc, gdy wędrowała ciemnym lasem napotkała na obozującą watahę zbójecką.

Straż ją zatrzymała i powiodła przed herszta, który grzał się koło ogniska.

Uboga odzież ocaliła jej życie. Herszt wybadał ją. Opowiedziała mu wszystko. Wysłuchał uważnie i zabronił bandzie uczynić jej coś złego.

Pozwolił jej odpocząć i ogrzać się przy ognisku.

—I ja szukałem Prawdy. Wszędzie. Wśród ludzi dobrych i złych. Wśród uciech i smutków. Nie znalazłem. Teraz szukam we krwi i w jękach mordowanych — przemówił po chwili.

— Złą obrałeś drogę. Szukasz nie Prawdy, ale szczęścia — odpowiedziała odważnie.

— Gdy znajdziesz swą Prawdę, to wróć i naucz mnie jej. Poznasz moje loże po znakach krwi na drzewach, po łunach pożarów — prosił przy pożegnaniu.

Przyrzekła powrócić.

Bezpiecznie wróciła już w miejsca zamieszkałe.

Chodziła wszędzie i nasłuchiwała dźwięków dzwonów.

Słyszała wiele dzwonów, lecz długo nie słyszała prawdziwych.

Raz wieczorem, gdy odpoczywała przed maleńką świątynią, odezwały się nad jej głową nieznane a cudne dźwięki. Zrozumiała. Poznała prawdziwe dzwony, o których mówił jej Starzec.

Weszła do świątyni i uklękła przed Chrystusem na krzyżu.

Nadeszła właśnie w onej godzinie, kiedy Chrystus oderwał drugie ramię z uwięzi.

Zakrwawiony złoty gwóźdź upadł jej do stóp.

Podniosła go i podniosła zapłakane oczy do Jego źrenic.

Dojrzała błogosławiące ją dłonie i otwarte źrenice Chrystusowe.

Upadła na kolana i płacząc, wpatrywała się w te oczy.

One uczyły ją Prawdy, którą jest cierpienie i miłość.

Całą noc modliła się w świątyni. Kiedy rano odeszła, uniosła ze sobą złoty gwóźdź z Chrystusowej dłoni.

Chodziła od miasta do wioski. Od domu do domu. Uczyła ludzi Prawdy.

Ludzie nie chcieli Prawdy, którą jest cierpienie i miłość. Odpędzali od swych progów dziewczynę i jej Prawdę.

Napróżno pokazywała im złoty gwóźdź z Chrystusowej dłoni.

Wyruszyła w lasy.

Po krwawych znakach na drzewach, po łunach pożarów odszukała kryjówkę herszta zbójców.

Był samotny. Banda oszukała go, okradła i uciekła.

Poznał, co cierpienie i złorzeczył światu.

Dziewczyna uczyła go Prawdy. Gdy ją poznał, zrozumiał swe zbrodnie i pożałował za nie.

Oddał dziewczynie wszystkie zrabowane skarby, aby wynagrodziła nimi w części jego ofiary.

Sam dobrowolnie oddał się w ręce władz.

Skazano go na pięć lat ciężkiego więzienia.

Dziewczyna chodziła dalej po świecie i niezmordowanie uczyła swej Prawdy. Silnych miłości, a słabych cierpienia.

Umarła obok zapomnianej świątyni. Właśnie w tym dniu, kiedy herszt został zwolniony po odsiedzeniu kary.

Odnalazł jej zwłoki. Pochował na cmentarzu, obok zapomnianej świątyni.

Wraz z nią pochował złoty gwóźdź z Chrystusowej dłoni.

Do śmierci pozostał strażnikiem jej mogiły.

Wyrosło na niej drzewo, rodzące kwiaty w kształcie złotych gwoździ.

Powiadają starzy ludzie, że kto odnajdzie mogiłę dziewczyny obok ruin zapomnianej świątyni, kto wchłonie zapach kwiatów z rosnącego na niej drzewa, ten pozna Prawdę i będzie szczęśliwy.

Nowakówna Stanisława

ROZMAITOŚCI

SÓL — DODATKIEM DO POTRAW

Pożywienie roślinne wymaga większej ilości spożywania soli niż zwierzęce. Fakt ten znany był już w starożytności. Zarówno Grecy jak i Rzymianie składając bogom na ofiarę plony z pól dodawali zawsze pewną ilość soli, czego nie czynili przy ofiarach zwierzęcych.

SPRYTNY GOSPODARZ

Pewien gospodarz w Holandii zgubił nie dawno swą sakiewkę z pieniędzmi w chlewie i jedna ze świń zjadła ją wraz z pieniędzmi znajdującymi się w środku. Wieśniak zabił natychmiast świnię i udał się z jej żołądkiem do miasta do banku. Ponieważ urzędnicy znaleźli w żołądku zwierzęcia niestrawione jeszcze resztki banknotów, wypłacono mu na tej podstawie pieniądze.

CYFRY ARABSKIE

Tak zwane cyfry arabskie zostały wynalezione przez Hindusów. Tylko Arabowie rozszerzyli je w Europie. Począwszy od XII stulecia posługiwano się nimi coraz częściej, zaczęły one coraz więcej wypierać niepraktyczne cyfry rzymskie. W niektórych miejscowościach podnoszono ciężkie zarzuty przeciw wprowadzaniu tych pogańskich nowości. Tak na przykład w roku 1299 zakazano we Florencji kupcom pod surowymi karami wypisywać rachunków cyframi arabskimi.

KWIATY JAKO POTRAWY

W Chinach ceni się róże nie tylko dla ich piękności i ich miłego zapachu lecz również dla ich delikatnego smaku. Chińczycy sporządzają z płatków białej róży smaczną sałatkę. Również spożywają tam bulwy lilii, podobnie jak my ziemniaki, z masłem. Natomiast w Japonii niektóre odmiany chryzantem przyrządzone z mlekiem i masłem należą do potraw szczególnie lubianych.

MAJĄTEK ZA KSIĄŻKĘ

Przed wynalezieniem sztuki drukarskiej były książki szalenie kosztowne. Pewien miłośnik dzieł Liwiusza ofiarował jedno ze swoich dóbr za posiadanie jednego jedynego tomu jego dzieł.

DZIWNY CMENTARZ

W katakumbach klasztoru OO. Kapucynów w Palermo znajduje się dziwny cmentarz. W długich, sklepionych oświetlonych z góry korytarzach stoją jedno koło drugiego zmumifikowane ciała zmarłych, w brunatnych przypominających habit, szatach. Do szat tych są przymocowane kartki z nazwiskami i datą śmierci. Liczba tych mumii wynosi 8000. Najstarsza pochodzi z roku 1669. Kobiety leżą osobno, w trumnach o szklanych wiekach. Dziewczęta noszą wianki na głowie, dzieci posiadają sztuczne oczy. Mumifikacja tych ciał nastąpiła na skutek leżenia zwłok w szczelnych, nieprzepuszczających powietrza komorach.

ŚLUBY RYCERZY ŚREDNIOWIECZNYCH

Śluby, które składali rycerze średniowieczni przed wykonaniem jakiego trudnego lub niebezpiecznego przedsięwzięcia, by być pewniejszymi powodzenia, przybierały niekiedy komiczne formy. Na przykład jeden rycerz składał ślub, że będzie patrzył tylko jednym okiem, drugi, że będzie jadł tylko lewą ręką, — albo też, że nie zmieni bielizny, dopóki nie uskuteczni zamierzonej rzeczy. Śluby składano w sposób uroczysty, nie tylko na imiona świętych, ale i na pawia lub bażanta, które to ptaki uważano za niezwykle rycerskie.

PĘKNIĘCIE SZKŁA

Można rozbić szkło przy pomocy dźwięków. Jeżeli silny dźwięk posiada tę samą liczbę drgań co tak zwany własny ton szkła wtedy szkło pęka. Również dźwiękiem skrzypiec łatwo powodować wybuch eksplodującego materiału. Zachodzi to wtedy, gdy cząsteczki materiału eksplodującego przez dźwięk pobudzone są do drgania.

TAJ MAHAJ W AGRZE

Przed 300 laty Wielki Mogoł szach Dżehanu polecił nieznanemu do dziś z imienia Persowi sporządzić mauzoleum dla swej ulubionej żony.

Hinduski ten grobowiec sporządzony w przeciągu 18 lat, ozdobiony delikatnym ornamentem z agatu i lapis lazuli, jest nie budynkiem, ale inkarnacją miłości w białym marmurze.

Kopuła jego wykwita jak żywa roślina na kształt pąka lotosu, spośród 4 wieżyczek minaretu. Marmurowe okna przypominają przeźroczyste liście. Bramy wychodzą na obszerne placyki. Nie można podejrzewać żadnych technicznych sztuczek, w doskonałej harmonii tego białego marmurowego sześcianu, zakończonego kopułami, ponad którymi połyskująca matowa złota kula, jest jak gdyby znużone spojrzenie, przesłane przez umierającego Wielkiego Mogoła w kierunku grobu ukochanej żony.

Całość jest marmurowym upostaciowaniem miłości i wizerunkiem duszy pięknej i dobrej kobiety, wypływającym z nad ciemnych cyprysów ku światłu księżyca. W jego właśnie oświetleniu, grobowiec sprawia nadziemskie wrażenie, to też podziwia go i fotografuje szereg turystów.

KTO PIERWSZY U METY!

Fot. Żwałał



„Dom Przyrody" w Salzburgu posiada między innymi bardzo ciekawy ruchomy model, który każdy zwiedzający może wprowadzić w ruch. Przedstawia on zawody człowieka z żyrafą, zającem, gazelą, strusiem, koniem, słoniem, nosorożcem i koleją żelazną. Nadspodziewanie okazuje się, że zawody wygrywa sarna, która przebiega 270 m w tym samym czasie kiedy szybkobiegacz przebiegł zaledwie 100 m. Wszystkie inne zwierzęta prześciguje kolej żelazna. Gorzej od człowieka biegają, jak to widzimy na zdjęciu, gruboskórce.

W NIEWOLI SMUTNYCH OCZU

Wychodząc z domu spotkał ją kilka razy przy wyjściu i chcąc nie chcąc musiał widzieć te oczy, co przykuwały do siebie bezmiarem smutku i rozpaczy. Patrzyły nań i prosiły o coś, mimo, że twarz jej nie zdradzała nigdy wewnętrznego uczucia. Usuwała mu się szybko z drogi w obawie, że może ją przytłoczyć ciężarem olbrzymiego ciała.

Nigdy nie widział jej twarzy tak wyraźnie jak dziś, kiedy w gorączkowym pośpiechu nieuważna na nic, wpadła wprost na niego.

Zdziwienie odbiło się na jego twarzy. Przypomniała mu kogoś bardzo bliskiego, lecz kogo, — sam w tej chwili nie wiedział.

Pod wrażeniem niezwykłej piękności i urody wszelka myśl pierzchła z komórek mózgowych i nie widział przed sobą nic, tylko przykryty mgłami lazur ócz i usta wąskie, soczyste krwi purpurą, wargi kurczowo zaciśnięte w bolesnym grymasie. A cała twarz wyrażająca ból była, tak subtelna i pociągająca, a smutne oczy tak rzewne, że uczul iż leci w przepaść bezdenną, ze dziwne oczy dziewczyny biorą go bezwładnego w niewolę... Chwila zapomnienia...

Szybko znikła w klatce schodowej i kiedy oprzytomniał, gniew zatlił się w jego źrenicach, chochlik złości na samego siebie.

On sławny chirurg Stefan Mocwał zaczynał być sentymentalny. Głupota! ... Tam, — na stołach leżące łachmany ludzkich ciał spędzą z jego ust uśmiech tkliwy i przywrócą nadszarpnięty mózg do przytomności.

Spiesznie minął podwórze, by utonąć w krzykliwym ludzkim wirze.

— — — — — — — — —

Jak kłoda zwaliła się przy łóżku, na którym leżał spokojnie młody, przystojny człowiek. Głuchy szloch wydarł się z wnętrza piersi, a smutne oczy załzawiły się kryształem kilku łez, które jak ulatujące życie spłynęły szybko po drżących licach.

On patrzył spokojnie na nią. Z widocznym wysiłkiem uniósł rękę i palce pieściwie zaczęły muskać jej ciemne, o złotym połysku loki.

— Nie płacz Zu, wiedziałem, że to stać się musi...

— Nieprawda! — przerwała szybko, bojąc się, by nie przeczył. — Jest ratunek, ale musisz się niezwłocznie poddać operowaniu.

— Żaden chirurg już mi nie pomoże. Nie mam w nich wiary. Jednemu człowiekowi dałbym się krajać, ale ten niedźwiedź olbrzymi znikł bez śladu i do dziś dnia nie wiem gdzie się obraca.

— Źle mówisz Stachu. I twój olbrzym nie może się równać z sławą dra Mocwała, który ma cię operować. Przyrzekł mi to po wielkich trudnościach sam dyrektor Wiecholski.

W chwili wymawiania przez Zu nazwiska doktora, chory drgnął lekko, lecz wzmagająca się gorączka przysłoniła mu oczy koszmarem cieni, a myśl cofnęła się w otchłań niebytu.

— — — — — — — — —

A potem prosiła rzewnie przedstawiając mu obraz życia, co przed nim się słało i cel, który osiągnąć powinien śmierci się nie dając, aż w końcu ustąpił...

Dziwnie drżąca wchodziła do poczekalni doktora Stefana Mocwała. Musiała się z nim zobaczyć! Musiała uprosić chociażby na kolanach, by się podjął na Stachu operacji.

Skłamała przed chorym, gdyż dyrektor nie przyrzekł jej nic, kierując ją samą do sławnego chirurga.

— Pan doktór nie przyjmuje — mocniejsze nad uderzenie w twarz, słowa służącej.

— Może choć mnie — szepnęła cicho, boleśnie, a oczy stały się tak proszące, że zdziwiona służąca cofnęła się za drzwi.

Po chwili drzwi otwarły się na oścież i stanął w nich sam dr. Mocwał.

— Niech pani wejdzie.

A kiedy zaczęła prosić, słowa płynęły bezładne, więc przerwał machnięciem ręki.

Nic go w tej chwili nie obchodziło prócz słów, kto był tym człowiekiem i czym był dla niej. Tłumiąc dość głośne bicie serca, zapytał prawie szorstko:

— Kto to; mąż, ojciec, brat...

W słowach zapytania wyczuła lekkie drżenie jego głosu.

— To mój brat, panie doktorze.

Odetchnął nieznacznie i uśmiech tkliwy zawisł na jego wargach.

— Może być pani spokojną. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

A kiedy rzucił okiem po jej wyjściu na kartkę wizytową, błysk zdziwienia i ciekawości zaigrał mu w oczach.

Zofia Topór

— To dziwne, bardzo dziwne...

— — — — — — — — —

W sali operacyjnej zrozumiał... Przed nim leżał nie kto inny, jeno druh najserdeczniejszy Stach Topór.

... Wykonam jakby to był mój brat.

Pierwszy raz od lat asystenci zdziwili się. Dr. Mocwał był zdenerwowany.

Nóż operacyjny migotał szybko przy białosinym świetle.

W oczach obecnych czaił się okruch niepewności.

Gotowe! ...

To jedno lakoniczne słowo przywróciło umysły wszystkich do rzeczywistości. — Dr. Mocwał pozostał nadal chirurgiem bez porównania.

Smutne oczy wyprowadziły jego dłoń z niepewności i sprowadziły na drogę szczęśliwego zakończenia.

— — — — — — — — —

Znikł ból z oczu Zochy i radość spowiła jej twarz po wyzdrowieniu Stacha, lecz w niedługi czas znowu w oczach zaczął przebijać smutek, który przykuł na zawsze do niej doktora Mocwała.

A wtedy zmieniły swój tragiczny wyraz i spod czarnych rzęs płynęło na świat jasne, beztroskie spojrzenie dziecka.

I mijał czas, a los kreślił zygzaki wśród ludzkich dni, niekiedy słońcem jasne, niekiedy szare nocną ciemnią.

Roman St. Pelc

Światła uludy

Światła uludy wszędzie są,
— w świetle księżyca jasnych tchnień
w porankach słońca złotą grą —
na każdy siądą cień.

Do oczu czyichś jasny blask
i promień zgubny ślą.
Na ustach purpurowych kras
rozkosznym żarem tchną.

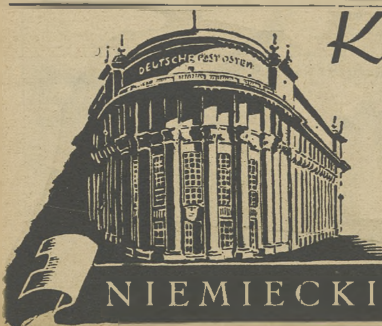
W głębokiej nocy — czaru krąg
na czyjeś głowy sypią roje
w piekle tęsknoty strasznych mąk —
z nadzieją topią blaski swoje.

Światła uludy wiodą nas
w krainę mgieł nieznanych.
Nie trwoży mnie ich zgubny blask,
— bo idę z tobą — Ukochany.

Urszula Malińska





KĄCIK KARYKATURZYSTY



U MALARZA

— Nie odejdę stąd, dopóki pan nie wyrówna mi zaległych rachunków!
— Hm, A pościel i kartkę żywnościową ma pan ze sobą?... No i zezwolenie policji na zamieszkanie u mnie... Rys. Jan Buczkowski — Kraków

Myśliwy: — Niech pan sobie wyobrazi, raz tropiłem postrzelonego zająca, wtem zaczął on drapać się na drzewo...
Leśniczy: — . . . i wołał miau, miau!

•

W jatce: — Staszek, odkraj zaraz tej pani świńskie ucho, a panu sędziemu trzeba porąbać kości.

•

— Czy zadowolony pan jest z befsztyku?
— Cokolwiek za mały na swój wiek.

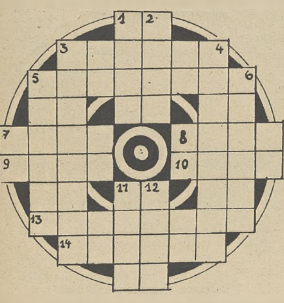
ROZRYWKI UMYSŁOWE

KONIKÓWKA
ul. Dzidka



Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 3. uroczyste wystąpienie wojska w czasie przeglądu; 5. przyrząd do doświadczeń akustycznych; 7. hiszpańskie imię żeńskie; 8. dopływ Loary; 9. sypialnie majtków i podróżnych na okrętach kupieckich; 13. twórca antropologii kryminalnej; 14. pierwiastek chemiczny; 10. naczynie do przechowywania cieczy.

Pionowo: bóg miłości u Greków; 2. rodzaj polituty sporządzany w Chinach i Japonii; 3. Grecki bóg morza; 4. przestarzała forma językowa; 5. szkło oczne, przeznaczone tylko dla jednego oka; 6. miasto, stolica Saksonii; 11. grecka moneta; 12. rzeka, dopływ Wisły.

— No, chłopcy, — mówi nauczyciel w szkole: — powiedzcie mi, które zwierzę jest najlepsze do pożywienia dla człowieka?
— Kura, panie profesorze, bo ją można jeść i po zarżnięciu i przed urodzeniem jako jajo.

•

Młody, początkujący śpiewak idzie raz ulicą. W tem spada z balkonu wazonek z kwiatami na głowę śpiewaka. Na to ten stwierdza z całym spokojem: — Entuzjazm publiczności dla mej osoby wzrasta.

•

Kierowca podnosząc z jezdni potrąconego:
— Bardzo pana przepraszam, ale jest tu też wina pana. Jezdnią trzeba chodzić ostrożnie. Niech pan nie uważa mnie za początkującego szofera, ja jestem już rutynowanym kierowcą od sześciu lat.
— Ja też nie jestem początkującym, chodzę już po świecie 56 lat.

•

— Ten katalog nic nie jest wart. Przy obrazach nie są podawane ceny za nie.
— Ależ Jasiu, przecież ty nie masz zamiaru kupować żadnego z tych obrazów.
— Oczywiście, że nie. Ale w jaki sposób się dowiem który z nich jest wart oglądania, nie znając ich ceny.

•

Silnie zadłużony młodzieniec: — Teraz za ostatnie pieniądze kupię los na loterii. Jeśli wygram, to mogę się ożenić, jeśli nie wygram, to będę musiał się ożenić.

•

— Powiedz mi, Michasiu Dobrowolski, dlaczego to Adam ugryzł jabłko w raju?
— A, bo przecież wtedy nie było jeszcze noża.

•

— Moja żona już od przeszło dwóch lat używa aparatu do masowania.
— I co? Odnosi to jaki skutek?
— Owszem, walce tego aparatu przez zużycie już są o wiele cieńsze.

•

Ona: — Cobyś zrobił gdybym umarła?
On: — Oszalałbym.
Ona: — A czy ożeniłbyś się po raz drugi?
On: — No, znowu nie do tego stopnia.

•

— Mimi, ty jesteś cały mój świat.
— Kłamiesz, wszak byłeś już zaręczony, więc tamtej też na pewno mówiłeś, że jest twym całym światem.
— Ależ kochana, przecież wiesz dobrze, że są dwa światy. Jeden był stary, a teraz jest nowy . . .

•

— Śniło mi się kochany mężusiu, że kupiłeś mi piękny kapelusz.
— Ślicznie, ubierz się w niego i daj mi spokój.

•

— Czy wierzysz w sny?
— Naturalnie.
— Powiedz mi więc, co oznacza, gdy człowiek żonaty śni, że jest kawalerem?
— Przy przebudzeniu — wielkie rozczarowanie.

KOMPLEMENT

Chciałem dziewczątku złożyć serce w dani...
Jak lilia — rzekłem — piękna jesteś, pani!
Zdziwiona komplementem spytała: — Dlaczego?
Ano, bo w uszku pani widzę coś żółtego...

SZCZYT

Można się rozczarować zdarzeniem nie nowym,
Gdy się figę znajdzie pod listkiem figowym.

EKONOMJA UCZUĆ

ONA: Opowiedz, najdroższy, jakie
Byłoby twe życie beze mnie?
ON: Z większym urządzone smakiem,
Tańsze i bardziej przyjemne...

— głóg —

TAK ŹLE I TAK NIEDOBRZE!

Kiedy samotnie błąkał się po mieście,
Mówili wszyscy: to dziwak — co „pości“
I zgodnie jedną wydali opinię:
Że „zew natury“ — spełnia w... samotności.
Kiedy przebywał — w swych przyjaciół kole,
Wtedy szeptali: że zmienił „kierunek“!
I że „takiego“ dotąd dziwnym trafem,
Nie zasądzono — no... tym... „paragrafem“!
Kiedy przebywał — w pięknych kobiet gronie,
Wtedy terczeli: — że łajdak! rozpustnik!
Czemu o rękę — którą nie poprosi?!
I, że „takiego“ — „święta ziemia“ nosi!!
Kiedy się w końcu ożenił, „nieboże“,
Sądząc — że wreszcie „święty spokój“ będzie,
Wtedy huczało: — że teraz nie może
Mieć dzieci — bo „przeszłość“ mieć musi na względzie!...
Kiedy nie mogąc już dłużej wytrzymać —
Urżnął się w knajpie — by zalać „robaka“,
Jak na komendę huknęła opinia:
Że jest „ladaco“, „pijak“ no i „świnia“!!
Że mało zarabia — a do tego „pije“!
Co z żoną „wyprawia“? — podobno ją „bije“!!
I, że ich to w końcu — ni „ziębi“ ni „parzy“,
Że sobie „ładnego“ wnet „piwa“ naważy!
Kiedy się wreszcie — powiesił na pasku,
Myślał — że radość ogólną poruszy!
Wtedy płakali: — ach! bardzo go szkoda,
Bo, to był człowiek: — o „szlachetnej duszy“!!

E. LOTAR

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Edwardzie! Przecież ty czyścisz zęby kremem do golenia!
— O do licha! Musiałem się widocznie przed tym ogolić pastą do zębów! Rys. Canny

— Natychmiast mnie przeproś, cofnij swe słowa!
— Nic nie cofam, nic nie odbieram co raz dałem.
— W takim razie pożycz mi 100 złotych.

•

— Panie doktorze jestem gotów na wszystko, niech mi pan powie całą prawdę.
— A więc dobrze, honorarium moje za leczenie wynosi 300 złotych.

•

Dziadek patrzy z niezadowoleniem na swoją wnuczkę malującą sobie wargi. — Sztuka — mówi on — nie powinna poprawiać natury.
— Ależ dziaduniu — odpiera panienka — trzeba sobie przedstawić jak niemożliwie zabawnie wyglądałbyś bez twoich sztucznych zębów.



— Jak ci się podoba mój portret Kundziu?
— Alez tu brakuje guzika przy twej marynarce!
— Chwała Bogu, żeś to wreszcie zauważyła! Die Woche

— Owsiany, co wiesz o faraonach egipskich?
— Że wszyscy umarli, panie psorze.

•

— Wy, dzisiejsze panny, zupełnie nie znacie się na domowych robotach — skarży się dziadek. — Na przykład ty, Zosiu, z pewnością nie wiesz nawet, do czego służy igła?
— Ależ dziadziu, przecież wiem, że zakłada się je do gramofonu.

•

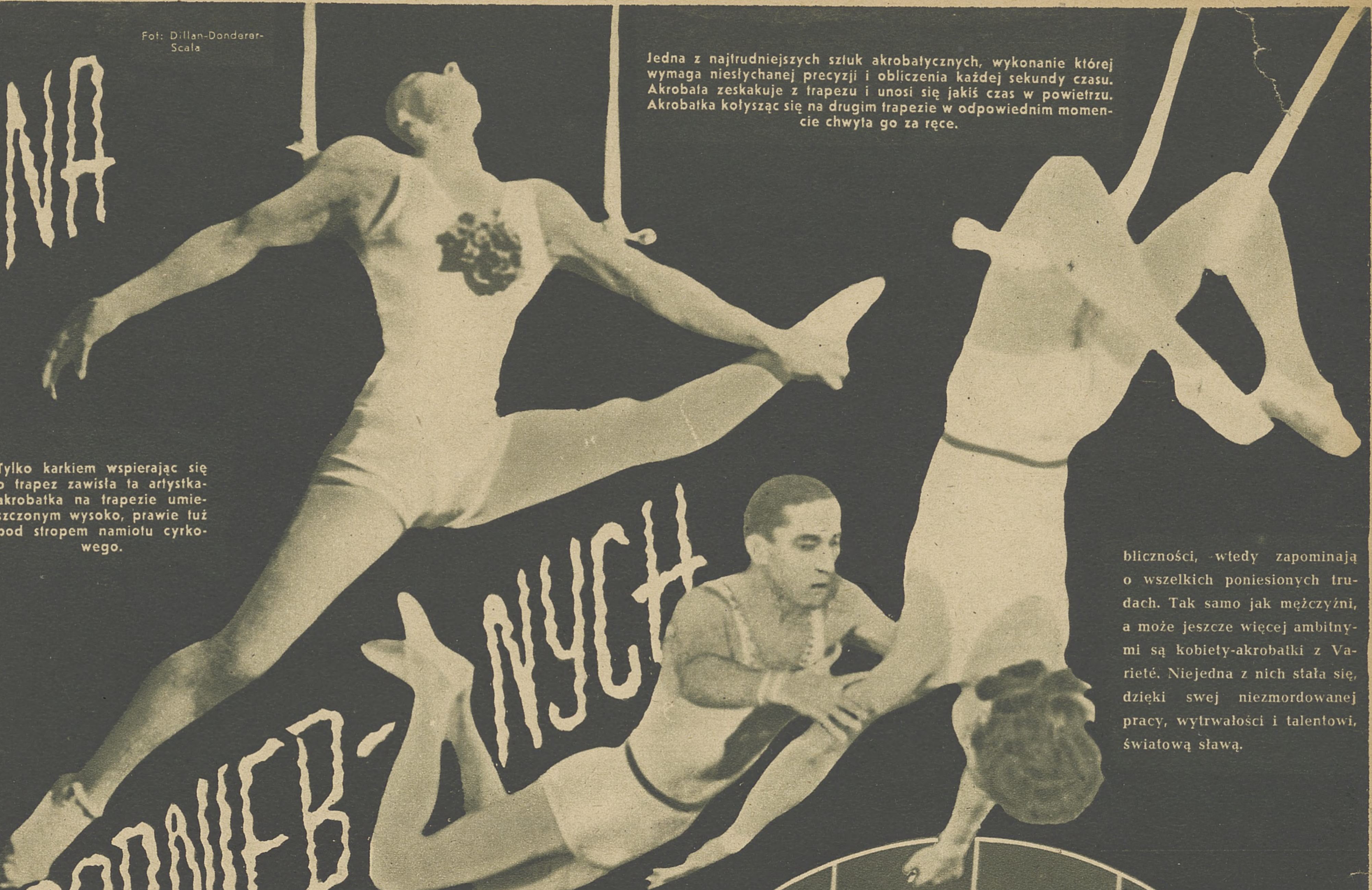
— Jeżeli mnie spróbujesz pocałować, będę krzyczeć!
— Ależ Maniusiu, przecież nie tu wobec wszystkich!
— Więc zjeżdżajmy prędko w las . . .



— Pan zapewne w piciu szuka zapomnienia?
— Tak jest.
— To może pan zechce wobec tego z góry wyrównać rachunek. Rys. Harry Hann

NA PODNIEB-NYCH LINACH

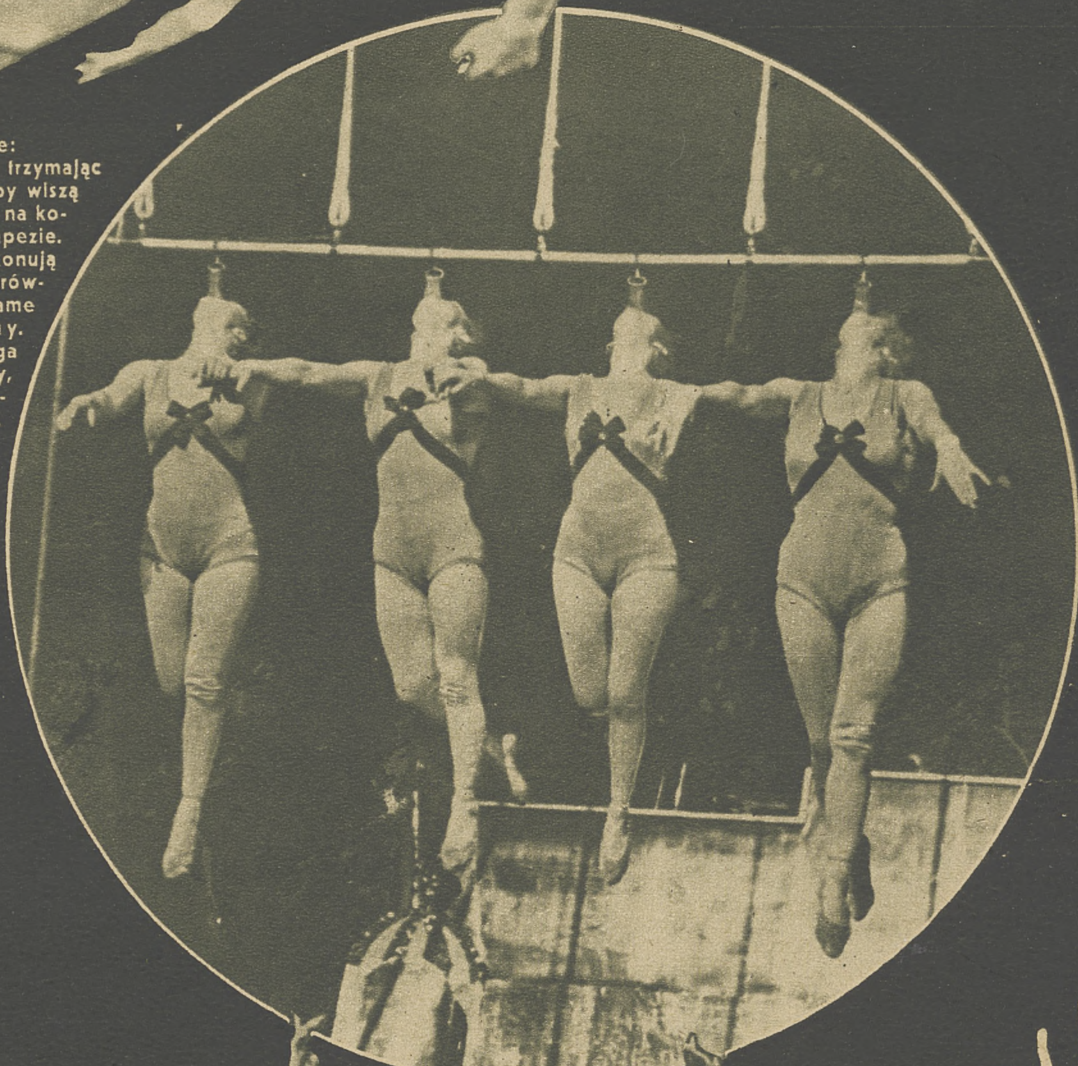
Fot: Dillan-Donderer-Scala



Jedna z najtrudniejszych sztuk akrobatycznych, wykonanie której wymaga niesłychanej precyzji i obliczenia każdej sekundy czasu. Akrobata zeskakuje z trapezu i unosi się jakiś czas w powietrzu. Akrobatka kołysząc się na drugim trapezie w odpowiednim momencie chwyta go za ręce.

Tylko karkiem wspierając się o trapez zawisła ta artystka-akrobatka na trapezie umieszczonym wysoko, prawie tuż pod stropem namiotu cyrkowego.

Wszyscy artyści cyrkowi pieszczą w sercu te same marzenia, posiadają tę samą ambicję: każdy z nich pragnie zostać kiedyś „wielkiem numerem". Całymi dniami pracują wytrwale, by po upływie nieraz całych lat uzyskać wymarzony cel, i są szczęśliwi, o ile im się to uda. W chwili, gdy staną w blasku reflektorów, a burza oklasków zagrzmi dokoła jako dowód uznania, podziwu i entuzjazmu ze strony licznie zgromadzonej publiczności, wtedy zapominają o wszelkich poniesionych trudach. Tak samo jak mężczyźni, a może jeszcze więcej ambitnymi są kobiety-akrobatki z Varieté. Niejedna z nich stała się, dzięki swej niezmordowanej pracy, wytrwałości i talentowi, światową sławą.



Na prawo w kole: Jedynie zębami trzymając się żelaznej sztaby wiszą te cztery kobiety na kołyszącym się trapezie. Przy tym wykonują wszystkie cztery równocześnie te same rytmiczne ruchy. Sztuka ta wymaga wielkiej wprawy, siły i dużej precyzji wykonania.



Pięć metrów ponad ziemią jeździ akrobata cyrkowy na rowerze obracającym się na dwóch płytach szklannych zawieszonych w powietrzu. Podczas gdy mężczyzna utrzymuje równowagę roweru, kobieta, wykonuje trudne ewolucje akrobatyczne.



Sztuka, którą długi czas uważano za niemożliwą do wykonania: Dziewiętnastoletnia akrobatka wykonuje „szpagat" na linie drucianej.